

# „My fair Lady”

**N**O WIĘC mamy musical. Skromniutki, ale to jednak „My Fair Lady”, a „My Fair Lady”, to jednak tegi kawał Shawa plus ładna muzyka i melodyjne piosenki. A w tollborskiej „Komedii” \*) to poza tym jeszcze — a może przede wszystkim — Barbara Rylska, najlepsza niewątpliwie u nas artystka estradowa, a — jak się okazało na premierze głośnego musicalu — również dobra aktorka dramatyczna. Bo „My Fair Lady” trzeba nie tylko dobrze śpiewać i tańczyć, ale i dobrze grać.

Partnerujący Rylskiej znany aktor teatralny i filmowy Edmund Fetting stawia postać profesora Higginsa przede wszystkim aktorstwem. W swych dotychczasowych rolach (w Teatrze „Wybrzeże”, a od kilku lat w warszawskim Teatrze Dramatycznym, w „Komedii” bowiem występuje gościnnie) prezentował wysoką klasę aktorstwa zdyscyplinowanego, precyzyjnego i „chłodnego”, utrzymywanego w korbach intelektualnej dyscypliny. W Higginsie jego „chłód” stopniał, postać nabrała miękkości i lekkości, poradził sobie też niezłe z partiami wokalnymi, nie siląc się zresztą nas przekonać, że jest śpiewakiem. Nie było to zresztą potrzebne. No więc trzyma tollborski spektakl przede wszystkim ta para: Rylska i Fetting. I kapitalny w roli Alfreda Doolittle'a Wojciech Rajewski. Z dobrośliwą ironią gra dystygowaną panią Higgins Ireną Ładosiówną, nawet Cezary Julski (plk. Pickering) rozruszał się w tym towarzystwie. Tadeusz Ross z wdziękiem gra i śpiewa jako młody dandys Freddy, zaś Jagienka Zychówna przynosi z Shawa oschłą postać gospodyni, pani Pearse. Pozostali wykonawcy nie wychodzą poza farsę.

**T**YCH kilka wymienionych postaci musicalu zorientowało Czytelnika, że „My Fair Lady”, to „musicalowa” wersja znakomitej komedii Shawa „Pigmalion”.

A jak „Pigmalion”, to, oczywiście, kłopoty przekładowe. W Polsce „monopol” na Shawa miał Florian Sobieński. W „Pigmalionie” nie potrafił, niestety, znaleźć polskiego odpowiednika na gwarowy język Elizy Doolittle przed jej edukacją. Antoni Marianowicz ułatwił sobie zadanie, każąc mówić Elizie i innym postaciom „z ludu” Wiechowską gwara, w której znalazły się też elementy lwowskiej wymowy (typu „mnieśo”). Taka gwara (czy żargon) nie zainteresowałaby na pewno badacza oryginalnych gwar i dialektów, profesora fonetyki Higginsa. Ale ponieważ brzmi dla ucha mile, bo swojsko, więc darujemy tłumaczowi tę łatwiznę, zwłaszcza, że w ustach Rylskiej brzmi to wszystko bardzo barwnie. Nie wysilił się też zbytnio Janusz Minkiewicz, jako autor tekstów piosenek, poziom ich jest bardzo różny.

Różnie też bywało z baletem i scenami zbiorowymi. Obok znakomitej, dyskretnie parodystycznej, zbudowanej na pantomimie zbiorowej sceny na wyścigach jest np. dość chaotyczna tanecznie scena zbudowana na niebardzo tu się tłumaczących elementach kankana. W sumie jednak ruch i taniec stawowią mocniejszą stronę spektaklu.

Oprawa scenograficzna, daleka od wymogów stawianych nowoczesnym musicalom, miała w tle za dużo szarości, zabrakło jej też plastycznych elementów, podbudowujących i nasycających klimat spektaklu, a już niektóre kostiumy postaci „z ludu” były raczej rodem z MCHAT-owskiego „Na dnie” niż z nowoczesnego musicalu.

No więc jak się rzekło, biedniutki jest ten musical, ale obierz go trzeba i warto — dla Shawa, dla Rylskiej, dla ładnych, znanych melodii i piosenek. W każdym razie jest to pierwszy spektakl w „Komedii” pod nową dyrekcją, który przyjmujemy w sumie bez zastrzeżeń i który może być zapowiedzią tego, co obiecywał przed objęciem teatru dyr. Jan Biczycycki.

\*) „My Fair Lady”. Libretto A. J. Lerner, wg. „Pigmallona” Shawa, przeł. A. Marianowicz. Muzyka F. Loewe, teksty piosenek J. Minkiewicz. Premiera w teatrze „Komedii”. Reżyseria T. Andrew, J. Biczycycki i J. Zychówna, scenografia K. Zachwatowicz i K. Wiśniak, choreografia T. Andrew.